



Urodziłem się w Rosji, w 1913 roku. Można sobie postawić pytanie, skąd Polacy w Rosji. Moja rodzina ze strony ojca i matki znalazła się tam w taki sposób: oboje pochodzili z Wileńszczyzny. Wilno w 2 połowie XIX wieku było miastem skazanym na kulturalne wymarcie. Od czasu osiedlenia się Mōniuski w Wilnie nie było tam wyższej uczelni, ani uniwersytetu, ani jakiegokolwiek innej, do 1918 czy 1919 roku, kiedy został odnowiony Uniwersytet Stefana Batorego. To oznaczało, że cały ten ośrodek, a Wilno było centrum ogromnego regionu, Litwy, Łotwy, aż do Rygi co najmniej nie było innego centrum kulturalnego - oznaczało to, że cały ten region był pozbawiony dopływu ludzi z wyższym wykształceniem, humanistycznym, medycznym, technicznym. Mój dziad po stronie matki skończył jakąś szkołę techniczną i został maszynistą kolejowym, był dobrym specjalistą i dochrapał się stanowiska/naczelnika parowozowni w Moskwie, tam było 7 czy 8 koncetrycznie zbiegających się stacji i na jednej z nich on został naczelnikiem. Oczywiście, czuł się i był Polakiem, jego ojciec był powieszony po Powstaniu Styczniowym. Mōja babka była Polką z terenów dzisiejszej Estonii, z Inflant, a spotkali się w Połtawie. Inteligent urodzony w Wilnie nie miał tam nic do roboty, a przez jakiś czas nawet nie miał tam prawa pracować. No i nie mógł się kształcić wyżej. Po 1905 roku zrobiło się troszkę lepiej.

Mój ojciec został lekarzem. Urodził się 1885 roku, był inteligentem z pierwszego pokolenia. Jego dziadkowie spauperyzowali się, jego ojciec a mój dziad był dzierżawcą w jakimś majątku, drobny szlachetka, i uciukał skromne pieniądze, żeby kupić sobie mały, dwudziestohektarowy mająteczek, wtedy to się w ogóle nie liczyło. Dziad odwiózł mojego ojca do Wilna, w wieku szkolnym, i tam go zostawił u stryja, do 4 klasy gimnazjum, czyli jak miał 13-14 lat.

Od tego momentu mój ojciec o własnych siłach zarabiał na życie i kształcenie się. Udzielał korepetycji z matematyki, łaciny itp. Doszedł do uniwersytetu, wyjechał do Dorpatu. Uniwersytet w Dorpacie był niemiecki, niemiecko-rosyjski, ale o przewadze niemieckiej. Pod koniec studiów uzyskał jedno z nielicznych wśród Polaków państwowe stypendium. Należał do organizacji polskiej typu Świętochowskiego; pozytywna, patriotyczna organizacja. Ona nauczyła ich bardzo wiele rzeczy, przecież chodzili przedtem do rosyjskiej szkoły, a tam nauczyli ich literatury polskiej, historii itd.

Jako młody absolwent i młody lekarz poznał moją matkę. Ona była praktykantem nad Wołgą. Skończyła pensję Sacré-Coeur w Moskwie i uzyskała uprawnienia do nauczania języka francuskiego. A ojciec odbywał tam praktykę lekarską. Mógł przyjechać do Wilna, ale jako młody lekarz nie miałby tu praktyki, Wilno miało ze 300 lekarzy, o wiele za wiele na to, żeby lekarz mógł się samodzielnie utrzymać. A jeszcze nie było wielkich instytucji medycznych; jak <sup>potem</sup> przyszedł uniwersytet, były kliniki, szpitale itp. Tymczasem jako młody lekarz po studiach miał holosalne stanowisko nad tą Wołgą, był tam lekarzem powiatowym, a wtedy powiat to było pięć dzisiejszych województw. A potem w Siebieżu, gdzie ja się urodziłem, sto wiorst za Moskwą w stronę granicy łotewskiej. Te okolice opisuje Miłosz, dolina Issy. Siebież należał do Polski za Stefana Batorego. Tam spędziłem pierwszy rok życia, potem wywieziono mnie do dziadków do Pietuszek pod Moskwą, ojciec poszedł na front, matka była ciężko chora na gruźlicę i zmarła wkrótce potem.

Ojca po wybuchu I wojny zmobilizowano do Wojska rosyjskiego, był oficerem sanitarnym, potem szefem sanitarnym batalionu. Karierę wojenną skończył w korpusie Dowbora-Muśnickiego i z nim przyszedł do Polski.

Stąd moi rodzice znaleźli się w głębi Rosji.

Po wybuchu wojny wielkie rzesze Polaków uciekały do Rosji, z Polski. Byli to tzw. bieżący, uciekinierzy. Była specjalna lokomotywa pośpieszno-towarowa, która ciągnęła pociągi z tymi uciekinierami. Ja stałem na stacji, <sup>w Pietuszkach,</sup> to też było o sto wiorst za Moskwą, ale na wschód i patrzyłem, a ludzie mówili: to bieżący jadą. W Pietuszkach przedsiębiorczy Żydzi z Łodzi zrekonstruowali swoją fabrykę tekstylną, która podobno pracuje do dziś dnia, nad Kłazną, piękna rzeka. Tam ojciec czasami przyjeżdżał. Bieżący stanowili liczną i bardzo ważną grupę ludności w tamtych okolicach. Z tej grupy np. pochodzi Rokossowski, jego rodzice przyjechali tam w czasie wojny, a on już tam wystać się i został. W domu oni mówili po polsku, potem się zrusyfikowali.

W "Nocach i dniach" Dąbrowskiej jest opis bombardowania Kalisza przez Niemców, na samym początku wojny. Otóż zbombardowanie Kalisza na samym początku 1914 roku (to był odwet za rzekome jakieś tam zamieszki) <sup>sprawy, że</sup> Niemcy załatwili sobie w ten sposób jedną sprawę /dlatego też nie poparto Piłsudskiego w Kielcach/ - gwałtowne emocje antyniemieckie w całym zaborze rosyjskim. Polacy w zaborze rosyjskim bez słowa, bez oporu dali się Rosjanom zmobilizować. Mój ojciec dostał kartę mobilizacyjną na Syberię, jeździł specjalnie do Petersburga, żeby go posłali na front, ale kazali mu jednak jechać do pułku. On ten pułk spotkał w połowie drogi, dowódcą pułku był pułkownik Gorski. "Pam jest katolik? - zapytał ojca. - No, to możemy mówić po polsku". Tam tych Polaków była masa.

Kiedy w 1920 roku skończyła się wojna polsko-sowiecka, w dwa lata potem podpisano traktat ryski. Jednym z paragrafów tego traktatu była - dziś to się mówi repatriacja - wtedy to się nazywało opcja. I ja z tą opcją wróciłem do Polski. To byli przede

wszystkim uciekinierzy, ci bieżący, a także ci, których rodziny znalazły się w Polsce. Ojciec mój w tym czasie był już w Wilnie. Ja z moim stryjem, też lekarzem i jego czworgiem dzieci przyjechałem do Polski. Miałem wtedy 9 lat.

Tyle, co, z Rosji pamiętam, to początek rewolucji. Przyjechał wielki parowóz z Moskwy z kokardkami czerwonymi i takie baby stały stały na stacji w Pietuszkach i mówiły: o, słabodu niesut. Wiozą wolność. Dziadek był już wtedy na emeryturze, ale jakoś się udało wtedy załatwić, ~~że~~ dostał wagon towarowy i myśmy 6 tygodni jechali na Ukrainę do jego krewnych. Tam były zamieszki, była wojna domowa. Mieszkaliśmy w małym miasteczku Koreniwo, niedaleko Kriemenczuga. Tam w ciągu 9 miesięcy władza zmieniła się 6 czy siedem razy. To były koszmarne historie, przy każdej zmianie były represje, dla kolaborantów czerwonych, białych, <sup>znawcu</sup> czerwonych, rozmaite niemiłe historie się tam odbywały. Potem pojechaliśmy do większego miasteczka, Znamienki. Tam wtedy rozpoczęła się pierwsza faza głodu na Ukrainie, rok 21 chyba.

Kiedy pod koniec 22 roku przyjechałem do Wilna, byłem w dosyć osobliwym stanie zdrowia. Myśmy na Ukrainie nie ciepieli takiego głodu, żeby nie było co jeść. Ale odżywianie było nienormalne, nierównomierne. Była to głównie kasza, kańdior to się nazywało, do niej się wrzucało trochę kartofli, zaprawiało się olejem słonecznikowym - to nienajgorsza rzecz, taki olej. Ja byłem tak przyzwyczajony do takiej diety, że jak przyjechałem do Wilna, do znakomitego jedzenia - mój ojciec był wtedy już naczelnym lekarzem kasy chorych, byliśmy dobrze sytuowani/potem był adiunktem w klinice, i zastępcą dyrektora kliniki chorób wewnętrznych / , ~~ten~~ nie było w każdym razie żadnych widocznych trudności wżywianiu - to ja tam przez dłuższy czas nie mogłem jeść masła. Cytryny jadłem jak jabłka. Tłuszczuk od szynki nauczyłem się jeść dopiero w 37 roku.

Półtora roku przed wybuchem wojny spędziłem w Paryżu na stypendium. Wróciłem do Polski pod koniec czerwca 39 roku, było coraz większe napięcie, spodziewano się wojny.

Wybuchła wojna. 17 września byłem jeszcze w Wilnie, a 18 z bratem stryjecznym Antonim, nieżyjącym już dziś, wyszliśmy w nocy piechotą na Litwę. Tam zostaliśmy internowani. Rosjanie nie weszli do Wilna, jak myśmy już wyszli, tego nie widziałem. Postanowiliśmy nie czekać na nich. Mówiono, że da się może przez Litwę wyjechać do Anglii czy gdzieś, myślano o Szwecji, Finlandii. Z tym, że Finlandia nie przyjmowała nikogo specjalnie. Ci, którzy mieli jakieś stopnie wojskowe - a ja nie miałem żadnego - przy pomocy dawnego konsulatu na Litwie mieli szansę jechać dalej. Polska zerwała stosunki z Litwą, kiedy Litwa zgodziła się na prezent, jaki jej zrobili<sup>li</sup> Sowieci w postaci Wilna. Trzeba pamiętać, że te stosunki były nawiązane dopiero od dwóch lat, przedtem nie było <sup>z Litwą</sup> żadnych stosunków, nawet poczty. Mój ojciec z bratem zamieszkałym na Litwie korespondował ~~przez Łotwę~~, ~~przez~~ przez Łotwę. Na Łotwie był taki aptekarz, do niego posyłało się list, ze znaczkiem dodatkowym w kopercie wewnątrz, on to wyciągał, nalepiał znaczek łotewski i posyłał na Litwę. Miłosz właśnie opisuje, że do Wilna jeździł przez Łotwę, przez Dyneburg, a nie przez Rygę.

No więc znaleźliśmy się na Litwie, zostaliśmy internowani. Po trzech miesiącach pobytu na Litwie udało mi się uciec i wrócić do Wilna. Taki to był obóz, że bez żadnego trudu udało mi się uciec. Było bardzo dobre jedzenie, mieszkaliśmy w takiej szkole. To było po ludzku wszystko zrobione, nie można było narzekać, prawidłowo, według wszystkich zasad Czerwonego Krzyża. Spaliśmy na podłodze, <sup>no cóż,</sup> było chłodnowato, ~~zale~~ zaczęli palić i tak dalej.

Ja po prostu szybko doszedłem do przekonania, że to nie dla

mnie. W ogóle w czasie wojny moje największe wyczyny polegały na udanych w ucieczkach.

6a → Powróciłem do Wilna. Do chyba kwietnia/40 roku była jeszcze władza litewska. Pracowałem w Kurierze Wileńskim. Wtedy nastąpiła ta kolejna prowokacja i weszli Rosjanie. Prowokacje odbywały się w ten sposób, że nagle ginął żołnierz. W 39 roku Litwa poddała się naciskowi sowieckiemu, że tam założą sobie bazy, ale będzie wszystko dalej, jak było. Tylko te bazy. Tylko Finlandia nie zgodziła się na te bazy, i wybuchła wojna z Finlandią. W połowie 40 roku skończyła się przy pewnej pomocy niemieckiej, ale ani jedna strona ani druga nie mogła wygrać. Wtedy Finowie stracili Wyborg, ale nie podlegali temu naciskowi sowieckiemu. Scenariusz był taki tych prowokacji: raptem zginął żołnierz, radziecki, w Kownie czy gdzieś, zaginął. Więc od razu Rosjanie podnieśli krzyk, że Litwa nie potrafi zabezpieczyć tych baz, bezpieczeństwa i tak dalej. Nie byłem przy tym, ale można się domyślać, jak to było aranżowane. Nigdy zresztą nie można wykluczyć prawdziwego wydarzenia, tylko z tego wydarzenia można zrobić Bóg wie co. Ginęli pograniczni żołnierze, Polacy i Litwini, przez 20 lat bywały jakieś tam indydynty, jak to się nazywało. Jak incydent z tym biednym <sup>polskim</sup> Serafinem, który zginął w 38 roku, posłużył/naciskom na Litwę. Mieliśmy wtedy rację - trzeba było raz wreszcie ten wrzód otworzyć. Litwini też mieli swoje racje - i mieli, i nie mieli zresztą. W każdym razie bardzo chcieli mieć Wilno i nie chcieli od tego odstąpić. Trudno im się dziwić, że chcieli; ale nie umieli znaleźć żadnego wyjścia, które by zadowalało kolosalną, przeważającą liczbę ludności polskiej w Wilnie, w Kownie, w Poniewierzu czy w innych wielkich miastach i w otocze pewnej polskiej na wsi.

Litwini, jak się można domyślić, pilnowali jak ognia, żeby nie było takich incydentów z żołnierzami sowieckimi.

Po powrocie z Litwy zobaczyłem nowe rzeczy, które nie odbywały się zresztą przy mnie. Była ogromna ilość ludzi aresztowanych i wywiezionych, chociaż nie masowo, jak później, nie dziesiątki tysięcy. Może parę tysięcy, nie umiem powiedzieć. Ale to wtedy zwłaszcza dotknęło inteligencję, a szczególnie dawną administrację. Przykłady, które znałem dobrze: Przyjaciel ojca, sędzia Antoni Rogiński; sędzia to była w ogóle trefna sprawa, zwłaszcza sędzia okręgowy, gdzie sprawy komunistyczne mogły się trafiać. Biedny Stanisław Cywiński, mój nauczyciel polskiego, norwidolog, decent na uniwersytecie. On za obrazę pamięci marszałka Piłsudskiego dostał od Polaków jeszcze 7 lat czy ileś, nota bene z ustawy, która została wydana po jego aresztowaniu, z działaniem wstecznym, w ogóle bezprecedensowa sprawa, haniebna. Jak przyszli Sowieci, <sup>Polacy</sup> nie wypuścili go, bo wielu przecież wypuścili przedtem. Sowieci wywieźli go pod Archangielsk i tam umarł. Wywieźli nauczycieli - całą grupę ze Święcian, Matiuszewicz chyba się nazywał jeden, pisał potem spod Archangielska czy Murmańska: przyslijcie cebulę, chciał tam hodować tę cebulę czy coś. Potem się to urwało, ta korespondencja. Był też wywieziony wice-wojewoda Rakowski, przedstawił się władzom okupacyjnym jako reprezentant dawnej administracji, oni pokiwali głowami i tak dalej, a następnego dnia go capnęli i wywieźli, nie wiem, co się z nim stało. Tu i ówdzie widać było białe plamy na dawnych stanowiskach i wśród znajomych. Tego nie było chyba specjalnie dużo.

Różnica między Wilnem a Lwowem polegała na tym, że... I w Wilnie i we Lwowie w przeważającej większości mieszkali Polacy, ale w Wilnie ich było więcej. Według przedwojennych obliczeń, a nie były one fałszowane specjalnie - Polaków było powiedzmy 55%, Żydów jakies 35%, a reszta to były mniejszości narodowe. Na te 300 tys. ludności w Wilnie było około 10 tys. Litwinów, może 7 tys. Byli ludzie, którzy nie wiedzieli, jak siebie określić. Byłem komisarzem spisowym w 31 roku i miałem takie rodziny. Np. w <sup>Wilna</sup> bardzo skromnej dzielnicy mieszkają dwie starsze panie, siostry. Mam rubrykę: narodowość, pytam tamtą panią, ona mówi: polska. Na to wylatuje jej siostra z drugiego pokoju: co pan tu pisze Polska, my jesteśmy Litwinki. Przepraszam bardzo, pani mówiła, że polska, no to jaka ostatecznie? ~~Ja~~ Polska. Polska, a pani? Litewska. Litewska zapisuję, proszę bardzo. Potem jeszcze chodziła na skargę i opowiadała, że ja wpisałem jej polską.

Ten więc incydent koło kwietnia 40 roku. <sup>z</sup> Narastało napięcie ekonomiczne, bo Litwini wyrzucali Polaków skąd tylko mogli, najgłupiej w świecie przycisnęli polskich robotników. W rezultacie powtórne przyjscie Sowietów uważano za wyzwolenie od tego ucisku litewskiego. W kwietniu, czy w maju wkroczyła armia radziecka. To ich wejście to była olbrzymia demonstracja, jak zajmowali Litwę. Przez kilka godzin nad Wilnem leciały samoloty tak gęsto, że całe niebo było nimi pokryte, jeden obok drugiego w minimalnej odległości. Transportowe czteromotorowce, nie mieli wtedy myśliwców, powolne. Potem Niemcy szybko im je wydusili. Więc wkroczyli, godzinami <sup>na</sup>ajpierw przyjęci przez Polaków bardzo pozytywnie. maszerowali, demonstracja siły. Zaraz potem była rekonstrukcja rządu. Uciekli wszyscy ministrowie litewscy, minister spraw zagranicznych Ur/??/ pojechał na rozmowy do Moskwy i już nie wrócił.



Reszta rządu przytomnie uciekła razem z prezydentem. Rządy objęła grupa lewicująca i komuniści. Zrobili wybory i ci wybrani delegaci uchwaliли przyłączenie Litwy do Związku Radzieckiego.

Wilno <sup>« ex-ante Republiki Litewskiej »</sup> pełniło rolę stolicy, Litwini zapowiedzieli, że centrum będzie przeniesione do Wilna, ale jeszcze nie ma warunków, lokalowych i tak dalej. Mówili: odzyskaliśmy stolicę! To zadowalało Litwinów. <sup>in English</sup> Było sławne przysłowie polskie, Polacy <sup>które porównali Wilny</sup> paru słów po litewsku się nauczyli. Było takie hasło: "Wilnius musu". To znaczy "Wilno nasze" po litewsku. A Polacy mówili: "Wilno musu, Lietova Busu". "Wilno nasze, a Litwę Ruskim". Dziś zapomniane, to ~~znane~~ <sup>znane</sup> przysłowie było. Po wojnie zresztą od razu Wilno stało się stolicą Litwy, ale wtedy już byłem od dawna w Warszawie. No i ten nowy parlament zgłosił po paru miesiącach wniosek o przyłączenie Litwy do ZSRR. Głosowano na parlament, a głosowanie było dobrze dopilnowane. Przywozili do szpitali skrzynkę do głosowania dla chorych, przedłużyli głosowanie na drugi dzień. Ale wśród Litwinów było wielu nacjonalistów, którzy nie chcieli się na to zgodzić i potrafili <sup>wydrukować identyczne prawie</sup> kartki wyborcze i na nich zamiast tych tam pytań i odpowiedzi oficjalnych, było napisane: a gdzież nasza wolność słowa? gdzie to czy to tamto? prawa, jak to się dziś mówi, człowieka? Niezbyszwalne, jak to się mówi.

Po wstąpieniu Sowietów zaczął się w pewnym sensie kulturalny raj. Oni zrobili referendum na temat języka w szkołach, latem 40 roku mniej więcej, bo od jesieni to zaczęło już funkcjonować. Były dopuszczalne cztery języki: litewski, polski, żydowski, rosyjski. Miażdżącą przewagę otrzymał język polski. Żydzi głosowali na język polski, niekiedy na rosyjski. Litwini dostali więcej szkół, niż to wynikało z referendum, ale Polacy dostali to, co chcieli. Wyższe szkoły dopiero formowały się, pojawili się pro-

fesorowie Polacy z całej Polski. No, potem przyszli Niemcy i wszystko wywalili. Szkoła muzyczna, w której pracowałem też teoretycznie miała 4 języki wykładowe, praktycznie dwa i język rosyjski jako obowiązkowy, czy półobowiązkowy. W każdym razie była polska gazeta. Była dość duża swoboda kulturalna. <sup>Był</sup> Teatr polski, który zajął salę kinową, bo sala teatru była zajęta pod operę, był też teatr litewski.

Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż np. we Lwowie. Być może dla Sowieców element polski, łagodniej traktowany, był regulatorem w stosunku do nacjonalizmu litewskiego, przynajmniej na początku tak było. Mam wrażenie, że to się zmieniło po 44 i 45 roku, kiedy <sup>to</sup> nastąpiła repatriacja, czyli tak naprawdę totalny exodus Polaków. Sam byłem zdumiony, jak niedawno gdzieś wyczytałem, że w Wilnie do narodowości polskiej przyznaje się 80 tys. ludzi, a teraz może jeszcze więcej, i że to jest druga pod względem liczebności grupa ludnościowa w Wilnie. W 40 i 41 roku drugą po Polakach grupą ludnościową byli Żydzi.

W Wilnie znalazła się ogromna masa uciekinierów z Polski. Teatr wileński miał tak wspaniałą obsadę jak nigdy przedtem ani potem, masę wspaniałych aktorów, z całej Polski. Życie codzienne było znośne. Były zamęty w okresie przejściowym, ale to się potem wyregulowało. Za litewskich czasów zaopatrzenie było znakomite, tylko straszna drożyzna, niedostępność wielu towarów. Było trudno zdobyć pieniądze. Ja miałem nieźle, 200 litów w tym Kurierze, no, ojciec był lekarzem nadal w Kasie Chorych, też mu tam nieźle jakoś płacili. Ale na przykład nauczyciele mieli wielkie trudności, bo Litwini na początku zlikwidowali gimnazja polskie, skurczyli do 2 czy 3 z tych 6 czy 7 i nauczyciele mieli trudności. Po wejściu Sowieców i uruchomieniu polskich szkół to się poprawiło. Zaopatrzenie w żywność też było znośne.

Były aresztowania, były represje, powiedziałbym <sup>z</sup>nigdy za niewinność. Gdzieś każdy konspirował, maczał w czymś palce, w tym co mógł, czy co chciał. Była specyficzna sytuacja, bo to nie była walka, nie bardzo było wiadomo, kto jest wrogiem - czy walczyć z państwem litewskim, czy z okupacją sowiecką, to wszystko było bardzo rozmyte, niejasne,

Na początku czerwca 41 roku wybuchła bomba. Zaczęła się wielka wywózka. To było, jak się okazało, bardzo starannie przygotowane. Rano jechałem z Antokolu, gdzie mieszkaliśmy, autobusem do szkoły muzycznej i nagle widzę taką scenę: ciocia Nagrodzka, kuzynka drugiej żony mojego ojca, wsadzają ją z <sup>Lilą</sup> córką do ciężarówki. To była dość bliska rodzina, widywaliśmy się dosyć często. To zrobiło na mnie duże wrażenie. Przez dwa dni to trwało. Przyjechało pełno wojsk NKWD, ~~na~~ w porządnie uszytych mundurach, granatowo-czerwone czapki, z pasami mobilizacyjnymi. Wtedy powywozili masę ludzi. Wywieźli wtedy też mojego <sup>brata stryjecznego</sup> Antosia, który był ze mną w obozie na Litwie. Capnęli go przedtem w jakiejś akcji, był w jakiejś organizacji. Jemu się wtedy udało uciec z transportu, jak już przyszli Niemcy. Bo Niemcy przyszli 3 tygodnie później.

Powywozili wielu nauczycieli i ogromną ilość tych uchodźców z Polski centralnej. Był taki dramaturg, Kazimierz Lacho... "ache... nie pamiętam. Pamiętam, jak szedłem do Kuriera, a on siedział samotnie na ciężarówce. Wielu znajomych powywozili. Nie była ta wywózka może tak obszerna, jak te wywózki, które robił Chruszczow we Lwowie, no i nie odbywała się tak po wariacku jak tam. Tam były wywózki w czasie mrozów, najgorsza rzecz, w nieopalanym tych wagonach, jak na ironię nazywanych przez Rosjan "ciepluszki", one są zimne jak piorun, tyle że nie są otwarte, bo na otwartych jeszcze zimniej. Tu w każdym razie była ładna pogoda,

ciepło. Na bocznym torze nad Nową Wilejką stały wagony przygotowane do transportu. Ojciec opowiadał, że ówczesny szef sanitarny Wilna, późniejszy minister zdrowia w PRL, Jerzy Sztachelski, był to bardzo porządny człowiek poza wszystkim, komunista, biegał tam i organizował jakieś dokarmianie tych ludzi w wagonach, jakieś leki. W zarządzie miejskim był <sup>też</sup> wtedy taki podający się wówczas za Litwina Druto, Drutas się wtedy nazywał, potem został ambasadorem Polski w Paryżu, po wojnie, nie pamiętam, czy przed Putramentem, czy po Putramencie.

Wywieziono ich tak szybko, że już po 10 dniach przyszły pierwsze listy. Wtedy ta poczta dobrze chodziła. Tak jak zaopatrzenie było niezłe - to były te czasy, gdy na parę lat przed wybuchem wojny z Niemcami bardzo się jednak poprawiło w ZSRR pod względem wyżywieniowym.

Była taka nauczycielka, wywieziona wtedy. Kiedyś przedtem opowiadała - może u nas mieszkają? była nauczycielką polskiego w szkole, pani Achramowiczowa, jej męża też wywieźli - opowiadała, że ona w ogóle nie stosuje się do żadnego programu, tylko zadaje na pamięć stąd-dotąd każdemu uczniowi co innego do nauczenia na pamięć: z "Fana Tadeusza", z tamtego tyle wierszy i egzekwowała to. Potem do niej pisali: jacy jesteśmy szczęśliwi, że pani nam kazała się tego wszystkiego nauczyć, my to teraz powtarzamy, prze pisujemy, jeden drugiego uczył, taki żywy podręcznik. Nie ona jedna to robiła.

Przyszli Niemcy, też wygrywali Polaków przeciw Litwinom.

Była taka niejasna i przykra sprawa <sup>tego pisarza</sup> Józefa Mackiewicza. Był bratem Cata-Mackiewicza, Stanisława. Startował w "Słowie" u swojego brata, potem się z nim pokłócił i zerwał stosunki, pisywał tam tak umiarkowanie... Cat to był błyskotliwy publicysta, wspaniały wzór publicysty, raczej talent niż wzór, bo jednak był drański facet,

uwielbiam to, co pisze, ale trzeba zawsze brać wszelkie poprawki na skali moralnej. Natomiast Józef miał taką dosyć ciemną sprawę. ~~Te~~ Sowieci <sup>go</sup>aresztowali, paru sędziów przy okazji itd. Trzymali <sup>ich</sup> dość długo, jeszcze w Litwie Radzińskiej. Bo tam rządy wewnętrzne, sprawy bezpieczeństwa, miało w ręku NKWD, nazywało się to, że to litewskie i tak dalej, LTSR nazywało się to po litewsku, ale naprawdę to było NKWD, obsada z Moskwy czy z Mińska, <sup>do tego</sup>trochę Litwinów przyuczanych, trochę Żydów, trochę Polaków. No i Mackiewicz po paru tygodniach wypuścili. Opisał to potem za czasów niemieckich, jak go przesłuchiwali i tak dalej. Powstało pytanie: jakżeż on znalazł się na wolności? Żeby wyszedł, musiały być jakieś powody. W sprawach politycznych niewyobrażalna była sytuacja, że ktoś się okaże niewinny. Skoro siedzi, to jest winny, może bardziej czy mniej. Jeżeli bardziej, no to kara od 10 lat wzwyż, a jeżeli mniej, to od 8 lat wzwyż, była jakaś gradacja, jakieś rozróżnienie. A on wyszedł. I zadawano sobie to pytanie, *dla czego*.

Co gorsza, on to wszystko opublikował w tej gadzinówce. O ile jeszcze można było publikować w tej polskiej gazecie, "Prawdzie" wileńskiej, sam tam publikowałem recenzje muzyczne, zakładało się, że to działalność kulturalna i nie można bez sensu podcinać i tak w tej sytuacji działalności kulturalnej, *to* można było tolerować. *Gadzinówka* to była gazeta <sup>niemiecka</sup>, po polsku wydawana. Nazywała się "Goniec codzienny", nazywano go "Podogoniec". "Godzina warszawska" za I wojny światowej właśnie była nazywana "Godzina" i stąd ta nazwa gadzinówka. A tu był "Podogoniec", bardzo parszywa gazeta. Dawni pracownicy germanistyki w Wilnie tam pisywali, stali się tam rzecznikami antysemityzmu. Był np. artykuł "Kiedy wolno bić leżącego?" i takie rozmaite rzeczy, bardzo parszywe. I on, Mackiewicz, tam opisał swoje przejścia z sowieckiego więzienia., wspomnienia z NKWD. To były takie znaki zapytania.

Były jeszcze jakieś sugestie, jakieś rzeczy po moim wyjeździe z Wilna, dość, że Romek Żebryk, który niedawno napisał o tym korpusie wileńskim AK książkę, mówił, że AK wileńskie - pisał o tym jakieś 10 lat temu w takim oświadczeniu, a on był adiutantem Wilka, dowódcy wileńskiego AK - że Mackiewicz był przez sąd podziemny skazany na karę śmierci, wyrok był zawieszony, coś takiego, jak to było sformułowane, nie pamiętam, za współpracę z kim, czy z Sowietami, czy z Niemcami, czy z jednymi i drugimi.

Potem wybuchła sprawa katyńska, na listach wyczytałem, że zginął tam mój bardzo bliski przyjaciel, oficer, matematyk, Korowajczyk, Leonard.

Mój brat stryjeczny Antoni miał następującą historię./zmarł w 1987 roku/. Siedzę kiedyś w/41 roku na dyżurze w szkole muzycznej i patrzę przez okno - idzie Antoni. Jego na parę miesięcy przed wybuchem wojny ~~niemiecko-sowieckiej~~ niemiecko-sowieckiej, aresztowali. Po paru dniach od wybuchu wojny, na trzeci dzień, Niemcy byli już w Wilnie, a w dzień później wrócił Antoni. ~~Udało~~ <sup>mu</sup> udało się uciec z transportu, bo tam ~~u~~ <sup>u</sup> puciekały straże sowieckie. Część ludzi wywieźli jednak, część zastrzelili, a części udało się uciec; jemu się udało. Rosjanie mieli obłąkane rozkazy - przy ewakuacji zastrzelić wszystkich więźniów, zwłaszcza politycznych. No i byli niektórzy dowódcy, którzy zdążyli to zrobić, a inni nie. Antoni opowiadał, że był w jakiejś akcji antyradzieckiej, jeszcze za litewskich czasów, niepodległościowej, patriotycznej. Potem był w wileńskim AK, nie wiem dokładnie, co tam robił, szukał jakiś czas swojego oddziału, nie wiem. W lipcu 44 roku, jak powtórnie przyszli Sowietci, zajęli Wilno, to w tym zajęciu ogromny udział miały polskie oddziały AK, tego Wilka. Rosjan przyjęto przecież wtedy jako wyzwolicieli.

Niemcy wydali tuż przedtem nakaz ewakuacji wszystkich z Wilna, strzelali na ulicach do każdego. W ten sposób zginął profesor Masonius, ciężko chory, po 80-tce; przyszli do domu i zastrzelili go, bo się nie ewakuował. Niemcy to robili. Mnie tam wtedy nie było, od września 43 roku byłem w Warszawie.

Antoni był wtedy w tych oddziałach Wilka, <sup>a/</sup> też jako jeden z pierwszych zginął <sup>w walce</sup> syn profesora Hillera, Janek Hiller. Komunikat <sup>po wejściu</sup> ruskich był taki: partyzantka litewska pomogła w zdobyciu Wilna. To był cały zysk polskiej partyzantki. Następnego dnia zaprosili Wilka, sztab i wszystkich dowódców na wspólnie przyjęcie, podziękowali. Polecili, żeby następnego dnia wszystkie oddziały się skupiły. Oddziały się skupiły, a oni je załadowali do wagonów i internowali, w charakterze jeńców. Wywieźli ich do obozu. Adiutant tego Wilka opowiadał mi niedawno, że ich obóz był wzorcowy. /Władek Kwieciński/. To było gdzieś w głębi Rosji, ich tam trochę wypuszczali, to było trochę na pokaz. Jeździli do miasteczka, stamtąd przywozili jakieś rury, inne rzeczy, założyli sobie w obozie kanalizację, czego nie było w okolicy nigdzie. Mieli masę czasu, z nudów stworzyli sobie cywilizowane warunki, komfortowe.

Jak się skończyła wojna, powoli ich wypuszczali. Antoni, który był wywieziony razem z nimi /przyszedł akurat na tę zbiórkę, żeby wyjechać razem z nimi/, źle to znosił. Jak ich wypuszczali na przepustki do miasteczka, on za każdy grosz oni im tam wypłacali jakiś żółd czy jakieś kieszonkowe, to on za każdy grosz kupował znaczki pocztowe, i zebrał sporą kolekcję znaczków. Po wojnie już przyjechał na Dolny Śląsk i wyceniał te znaczki u specjalisty, tamten był zachwycony tym zbiorem, że w życiu takiej kolekcji nie widział znaczków ruskich/. Więc Antoni na miesiąc czy dwa przed zakończeniem wojny uciekł stamtąd, przedostał

się do Polski. Oparł się w Lublinie u moich rodziców, którzy tam już wtedy mieszkali.



RUD

Witold Rudziński

Urodziłem się w Rosji, w 1913 roku. Można sobie postawić pytanie, skąd Polacy w Rosji. Moja rodzina ze strony ojca i matki znalazła się tam w taki sposób: oboje pochodzili z Wilenszczyzny. Wilno w drugiej połowie XIX wieku było miastem skazanym na kulturalne wymarcie. Od czasu osiedlenia się Moniuszki w Wilnie nie było tam uniwersytetu ani jakiegokolwiek innej wyższej uczelni - do 1918 czy 1919 roku, kiedy został odnowiony Uniwersytet Stefana Batoryego. Wilno było centrum ogromnego regionu - Litwy, Łotwy. Aż do Rygi co najmniej nie było innego centrum kulturalnego. Oznaczało to, że cały ten region był pozbawiony dopływu ludzi z wyższym wykształceniem - humanistycznym, medycznym, technicznym. Mój dziad ze strony matki skończył jakąś szkołę techniczną i został maszynistą kolejowym. Był dobrym specjalistą i dochrapał się stanowiska naczelnika parowozowni w Moskwie. Tam było 7 czy 8 koncentrycznie zbiegających się stacji i na jednej z nich on został naczelnikiem. Oczywiście czuł się Polakiem, jego ojciec był powieszony po Powstaniu Styczniowym. Moja babka była Polką z terenów dzisiejszej Estonii, z Inflant, a spotkali się w Połtawie. Inteligent urodzony w Wilnie nie miał tam nic do roboty, a przez jakiś czas nawet nie miał tam prawa pracować. No i oczywiście nie mógł się kształcić wyżej. Po 1905 roku zrobiło się troszkę źlej.

Mój ojciec został lekarzem. Urodził się w 1885 roku, był inteligentem z pierwszego pokolenia. Jego dziadkowie spauperyzowali się, jego ojciec a mój dziad był dzierżawcą w jakimś majątku, drobny szlachetka, uciurął skromne pieniądze, żeby kupić sobie mały, dwudziestohektarowy mająteczek, wtedy to się w ogóle nie liczyło. Kiedy ojciec miał 13-14 lat, jego ojciec zawiózł go do Wilna, zapisał do czwartej klasy gimnazjum i zostawił u stryja. Od tego momentu ojciec o własnych siłach zarabiał na życie i kształcenie się. Udzielał korepetycji z matematyki, łaciny itp. Doszedł do uniwersytetu, wyjechał do Dorpatu. Uniwersytet w Dorpacie był niemiecki, to znaczy niemiecko-rosyjski, ale o przewadze niemieckiej. Pod koniec studiów ojciec uzyskał jedno z nielicznych wśród Polaków państwowe stypendium. Należał do polskiej organizacji pozytywistycznej, patriotycznej, jakie propagował Świętochowski. Tam nauczył się wielu rzeczy: literatury polskiej, historii itd. Przedtem chodził przecież do rosyjskiej szkoły.

Jako absolwent i młody lekarz rozpoczął praktykę lekarską nad Wołgą. Tam poznał moją matkę, która skończyła pensję Sacre-Coeur w Moskwie, uzyskała uprawnienia do nauczynia języka francuskiego i odbywała praktykę również nad Wołgą. Ojciec mógł po studiach przyjechać do Wilna, ale jako początkujący lekarz nie miałby tam praktyki. Wilno miało ze 300 lekarzy, o wiele za wiele na to, żeby lekarz mógł się samodzielnie utrzymać. A jeszcze nie było wielkich instytucji medycznych jak potem: uniwersytetu, klinik, szpitali itp. Tymczasem, nad tą Wołgą, jako młody lekarz po studiach miał kolosalne stanowisko. Był tam lekarzem powiatowym, a wtedy powiat to było pięć dzisiejszych wojewodstw. Potem pracował w Siebieżu - sto wiorst za Moskwą w stronę granicy potewskiej. Ja się tam urodziłem. Te okolice opisuje Miłosz w "Dolinie Issy". Siebież należał do Polski za Stefana Batoryego. Tam spędziłem pierwszy rok życia, potem wywieziono mnie do dziadków do Pietuszek pod Moskwą, ojciec poszedł na front, matka była ciężko chora na gruźlicę i wkrótce potem zmarła.

Po wybuchu I wojny ojca zmobilizowano do wojska rosyjskiego. Był oficerem sanitarnym, potem szefem sanitarnym batalionu. Karierę wojenną skończył w korpusie Dowbora-Mugnickiego i z nim przyszedł do Polski.

Po wybuchu I wojny wielkie rzesze Polaków uciekały do Rosji, z Polski. Byli to tzw. bieżący, uciekinierzy. Była specjana lokomotywa pospieszno-towarowa, która ciągnęła pociągi z tymi uciekinierami. Ja stałem na stacji, w Pietuszkach, to też było o sto wiorst za Moskwą, ale na wschód i patrzyłem, a ludzie mówili: "To bieżący jadą". W Pietuszkach przedsiębiorczy żydzi z Łodzi zrekonstruowali swoją fabrykę tekstylną, która podobno pracuje do dziś dnia, nad Klazmą, piękną rzeką. Tam ojciec czasami przyjeżdżał. Bieżący stanowili liczną i bardzo ważną grupę ludności w tamtych okolicach. Z tej grupy np. pochodzi Rokossowski. Jego rodzice przyjechali tam w czasie wojny, a on już tam wykształcił się i został. W domu oni mówili po polsku, Konstanty potem się zrusyfikował.

W "Nocach i dniach" Dąbrowskiej jest opis bombardowania Kalisza przez Niemców, na samym początku wojny. Otóż zbombardowanie Kalisza na początku 1914 roku (to był odwet za rzekome jakieś tam zamieszki) sprawiło, że Niemcy zajęli sobie w ten sposób jedną sprawę (dlatego też nie poparto Piłsudskiego w Kielcach) - gwałtowne emocje antyniemieckie w całym zaborze rosyjskim. Polacy w zaborze rosyjskim bez słowa, bez oporu dali się Rosjanom zmobilizować. Mój ojciec dostał kartę mobilizacyjną na Syberię, jeździł specjalnie do Petersburga, żeby go posłali na front, ale kazali mu jednak jechać do pułku. On ten pułk spotkał w połowie drogi, dowódcą pułku był pułkownik Gorski. "Pan jest katolik? - zapytał ojca. - No, to możemy mówić po polsku". Tam tych Polaków była masa.

Kiedy w 1920 roku skończyła się wojna polsko-sowiecka, w dwa lata potem podpisano traktat ryski. Jednym z paragrafów tego traktatu była - dziś to się mówi repatriacja - wtedy to się nazywało opcja. I ja z tą opcją wróciłem do Polski. To byli przede wszystkim uciekinierzy, ci bieżący, a także ci, których rodziny znalazły się w Polsce. Ojciec mój w tym czasie był już w Wilnie. Ja z moim stryjkiem, też lekarzem, i jego czworgiem dzieci przyjechałem do Polski. Miałem wtedy 9 lat.

Tyle, co z Rosji pamiętam, to początek rewolucji. Przyjechał wielki parowóz z Moskwy z kokardkami czerwonymi i takie baby stały na stacji w Pietuszkach i mówiły: "O, siabodu niesut". Wiozą wolność. Dziadek był już wtedy na emeryturze, ale jakos się udało wtedy załatwić, że dostał wagon towarowy i myśmy sześć tygodni jechali na Ukrainę do jego krewnych. Tam były zamieszki, była wojna domowa. Mieszkaliśmy w małym miasteczku Koreniewo, niedaleko Kriemienczuga. Tam w ciągu dziewięciu miesięcy władza zmieniała się sześć czy siedem razy. To były koszarne historie, przy każdej zmianie były represje, dla kolaborantów czerwonych, białych, znowu czerwonych, rozmaite niemiłe historie się tam odbywały. Potem pojechalismy do większego miasteczka - Znamienki. Wtedy rozpoczęła się pierwsza faza głodu na Ukrainie. To był rok 21 chyba.

Kiedy pod koniec 22 roku przyjechałem do Wilna, byłem w dosyć osobliwym stanie zdrowia. Myśmy na Ukrainie nie cierpieli takiego głodu, żeby w ogóle nie było co jeść. Ale odżywianie było nienormalne, nierównomierne. Była to głównie kasza, kandior to się nazywało, do niej się wrzucało trochę kartofli, zaprawiano się olejem słonecznikowym - to nienajgorsza rzecz, taki olej. Ja byłem tak przyzwyczajony do takiej diety, że jak przyjechałem do Wilna, do znakomitego jedzenia - mój ojciec był wtedy już naczelnym lekarzem kasy chorych, byliśmy dobrze sytuowani (potem był adiunktem w klinice i zastępcą dyrektora kliniki chorób wewnętrznych), nie było w każdym razie żadnych widocznych trudności w wyżywieniu - to ja tam przez dłuższy czas nie mogłem jeść masła. Cytryny jadłem jak jabłka. Tłuszcz od szynki nauczyłem się jeść dopiero w 37 roku.

\*

Portora roku przed wybuchem wojny spędziłem w Paryżu na stypendium. Wróciłem do Polski pod koniec czerwca 39 roku, było coraz

większe napięcie, spodziewano się wojny.

Wybuchła wojna. 17 września byłem jeszcze w Wilnie, a 18 z bratem stryjecznym Antonim, już dziś nieżyjącym, wyszliśmy w nocy piechotą na Litwę. Tam zostaliśmy internowani. Rosjanie weszli do Wilna, jak myśmy już wyszli, więc tego nie widziałem. Postanowiliśmy nie czekać na nich. Mówiono, że da się może przez Litwę wyjechać do Anglii czy gdzieś, myślano o Szwecji, Finlandii. Z tym, że Finlandia nie przyjmowała nikogo specjalnie. Ci, którzy mieli jakieś stopnie wojskowe - a ja nie miałem żadnego - przy pomocy dawnego konsulatu na Litwie mieli szansę jechać dalej. Polska zerwała stosunki z Litwą, kiedy Litwa zgodziła się na prezent, jaki jej zrobili Sowieci w postaci Wilna. Trzeba pamiętać, że te stosunki były nawiązane dopiero od dwóch lat, przedtem nie było w Litwą żadnych stosunków, nawet poczty. Mój ojciec z bratem zamieszkałym na Litwie korespondował przez Łotwę. Na Łotwie był taki aptekarz, do niego posyłało się list z dodatkowym znaczkiem wewnątrz koperty, on to wyciągał, nalepiał znaczek łotewski i posyłał na Litwę. Miłosz właśnie opisuje, że do Wilna jeździł przez Łotwę, przez Dyneburg, a nie przez Rygę.

No więc znaleźliśmy się na Litwie, zostaliśmy internowani. Po trzech miesiącach pobytu na Litwie udało mi się uciec i wrócić do Wilna. Taki to był obóz, że bez żadnego trudu udało mi się uciec. Było bardzo dobre jedzenie, mieszkaliśmy w jakiejś szkole. To było po ludzku wszystko zrobione, nie można było narzekać, prawidłowo, według wszystkich zasad Czerwonego Krzyża. Spaliliśmy na podłodze, no cóż, było chłodnowato, ale zaczęli palić i było znośnie.

Szybko doszedłem do przekonania, że obóz to nie dla mnie. W ogóle w czasie wojny moje największe wyczyny polegały na udanych ucieczkach.

Po powrocie z Litwy zobaczyłem nowe rzeczy, które nie odbywały się zresztą przy mnie. Ogromną liczbę ludzi aresztowano i wywieziono, chociaż nie masowo, jak później, nie dziesiątki tysięcy. Może parę tysięcy, nie umiem powiedzieć. Wtedy to dotknęło zwłaszcza inteligencję, a szczególnie dawną administrację. Przykłady, które znam dobrze: przyjaciel ojca, sędzia Antoni Rogiński; sędzia to była w ogóle trefna sprawa, zwłaszcza sędzia okręgowy, gdzie sprawy komunistyczne mogły się trafiać. Biedny Stanisław Cywiński, mój nauczyciel polskiego, norwidolog, docent na uniwersytecie. On za obrazę pamięci marszałka Piłsudskiego dostał jeszcze od Polaków 7 lat czy ileś, nota bene z ustawy, która została wydana po jego aresztowaniu, z działaniem wstecznym, w ogóle bezprecedensowa sprawa, haniebna. Jak przyszli Sowieci, Polacy nie wypuścili go, bo wielu przecież wypuścili przedtem. Sowieci wywieźli go pod Archangielsk i tam umarł. Wywieźli nauczycieli - całą grupę ze Święcian, Matiusiewicz chyba się nazywał jeden, pisał potem spod Archangielska czy Murmańska: przyslijcie cebulę, chciał tam hodować tę cebulę czy coś. Potem się to urwało, ta korespondencja. Był też wywieziony wicewojewoda Rakowski, przedstawił się władzom okupacyjnym jako reprezentant dawnej administracji, oni pokiwali głowami, a następnego dnia go capnęli i wywieźli. Nie wiem, co się z nim stało. Tu i ówdzie widać było białe plamy na dawnych stanowiskach i wśród znajomych. Tego nie było chyba specjalnie dużo.

Wróciłem do Wilna. Chyba do kwietnia 40 roku była tam jeszcze władza litewska. Pracowałem w "Kurierze Wileńskim". Wtedy nastąpiła kolejna prowokacja i weszli Rosjanie. Prowokacje odbywały się w ten sposób, że nagle ginął żołnierz sowiecki. W 39 roku Litwa poddała się naciskowi sowieckiemu, że tam założą sobie bazy, ale będzie wszystko dalej, jak było. Tylko te bazy. Tylko Finlandia nie zgodziła się na te bazy i wybuchła wojna z Finlandią. W połowie 40 roku skończyła się przy pewnej pomocy niemieckiej, ale ani jedna strona ani druga nie mogła wygrać. Wtedy Finowie stracili Wyborg, ale nie podlegali temu naciskowi sowieckiemu. Scenariusz tych prowokacji był taki: raptem zginął żołnierz radziecki, w Kownie czy gdzieś, zaginął. Więc od razu

Rosjanie podnieśli krzyk, że Litwa nie potrafi zabezpieczyć tych baz, zapewnić bezpieczeństwa i tak dalej. Nie byłem przy tym, ale można się domyślać, jak to było aranżowane. Nigdy zresztą nie można wykluczyć prawdziwego wydarzenia, tylko z tego wydarzenia można zrobić Bóg wie co. Gingli pograniczni żołnierze, Polacy i Litwini, przez 20 lat bywały jakieś tam incydenty, jak to się nazywało. Jak incydent z tym biednym Serafinem, który zginął w 38 roku, posłużył polskim naciskom na Litwę. Mieligmy wtedy rację - trzeba było raz wreszcie ten wrzód otworzyć. Litwini też mieli swoje racje - i mieli, i nie mieli zresztą. W każdym razie bardzo chcieli mieć Wilno i nie chcieli od tego odstąpić. Trudno im się dziwić, że chcieli, ale nie umieli znaleźć żadnego wyjścia, które by zadowalało kolosalną, przeważającą liczbę ludności polskiej w Wilnie, w Kownie, w Poniewierzu czy w innych wielkich miastach i w pewnej otoczce polskiej na wsi.

Litwini, jak się można domyslić, pilnowali jak ognia, żeby nie było takich incydentów z żołnierzami sowieckimi.

Różnica między Wilnem a Lwowem polegała na tym, że... I w Wilnie i we Lwowie w przeważającej większości mieszkali Polacy, ale w Wilnie ich było więcej. Według przedwojennych obliczeń, a nie były one fałszowane specjalnie - Polaków było powiedzmy 55%, żydów jakieś 35%, a reszta to były mniejszości narodowe. Na te 300 tysięcy ludności w Wilnie było około 10, może 7 tysięcy Litwinów. Byli też ludzie, którzy nie wiedzieli jak siebie określić. Byłem komisarzem spisowym w 31 roku i miałem takie rodziny. Na przykład w bardzo skromnej dzielnicy Wilna mieszkają dwie starsze panie, siostry. Miałem rubrykę: narodowość, pytam tamtą panią, ona mówi: polska. Na to wylatuje jej siostra z drugiego pokoju: co pan tu pisze polska, my jesteśmy Litwinki. Przepraszam bardzo, pani mówiła, że polska, no to jaka ostatecznie? Polska. Polska, zapisuję, a pani? Litewska. Litewska zapisuję, proszę bardzo. Potem jeszcze chodziła na skargę i opowiadała, że ja wpisałem jej polską.

Ten incydent około kwietnia 40 roku. Narastało napięcie ekonomiczne, bo Litwini wyrzucali Polaków skąd tylko mogli, najgłupiej w świecie przycisnęli polskich robotników. W rezultacie powtarne przyjscie Sowietów uważano za wyzwolenie od tego ucisku litewskiego. W kwietniu czy w maju wkroczyła armia radziecka. Ich wejście to była olbrzymia demonstracja, jak zajmowali Litwę. Przez kilka godzin nad Wilnem leciały samoloty tak gęsto, że całe niebo było nimi pokryte, jeden obok drugiego w minimalnej odległości. Transportowe czteromotorowce, nie mieli wtedy myśliwców, powolne. Potem Niemcy szybko im je wydusili. Więc wkroczyli, godzinami maszerowali, demonstracja siły. Najpierw przyjęci przez Polaków bardzo pozytywnie. Zaraz potem była rekonstrukcja rządu. Uciekli wszyscy ministrowie litewscy, minister spraw zagranicznych Ur(?) pojechał na rozmowy do Moskwy i już nie wrócił. Reszta rządu przytomnie uciekła razem z prezydentem. Rządy objęła grupa lewicująca i komunistki. Zrobili wybory i ci wybrani delegaci uchwalili przyłączenie Litwy do Związku Radzieckiego.

Wilno w czasach Republiki Litewskiej pełniło rolę stolicy, Litwini zapowiedzieli, że centrum będzie przeniesione do Wilna, ale jeszcze nie ma warunków lokalowych i tak dalej. Mówili: odzyskałismy stolicę! To zadowalało Litwinów wileńskich. Było sławne przysłowie polskie, które powtarzali Polacy, którzy paru słów po litewsku się nauczyli. Było takie hasło: "Wilnius musu". To znaczy "Wilno nasze" po litewsku. A Polacy mówili: "Wilno musu, Lietova Rusu". "Wilno nasze, a Litwę Ruskim". Dzis zapomniane, to znane przysłowie było. Po wojnie zresztą od razu Wilno stało się stolicą Litwy, ale wtedy już byłem dawno w Warszawie. No i ten nowy parlament zgłosił po paru miesiącach wniosek o przyłączenie Litwy do ZSRR. Głosowano na parlament, a głosowanie było dobrze dopilnowane. Przywozili do szpitali skrzynekę do głosowania dla chorych, przedłożyli głosowanie

na drugi dzień. Ale wśród Litwinów było wielu nacjonalistów, którzy nie chcieli się na to zgodzić i potrafili wydrukować identyczne prawie kartki wyborcze i na nich zamiast tych tam pytań i odpowiedzi oficjalnych, było napisane: A gdzie nasza wolność słowa? A gdzie to czy tamto? Prawa, jak to się dziś mówi, człowieka? Niezbywalne, jak to się mówi.

Po wejściu Sowieców zaczął się w pewnym sensie kulturalny raj. Oni zrobili referendum na temat języka w szkołach, latem 40 roku mniej więcej, bo od jesieni to zaczęło już funkcjonować. Były dopuszczalne cztery języki: litewski, polski, żydowski, rosyjski. Miażdżącą przewagę otrzymał język polski. Żydzi głosowali na język polski, niekiedy na rosyjski. Litwini dostali więcej szkół niż to wynikało z referendum, ale Polacy dostali to, co chcieli. Wyższe szkoły dopiero formowały się, pojawili się profesorowie - Polacy z całej Polski. No, potem przyszli Niemcy i wszystko wywalili. Szkoła muzyczna, w której pracowałem, też teoretycznie miała cztery języki wykładowe, praktycznie dwa i język rosyjski jako obowiązkowy czy porobowiązkowy. W każdym razie była polska gazeta. Była dość duża swoboda kulturalna. Był teatr polski, który zajął salę kinową, bo sala teatru była zajęta pod operę, był też teatr litewski.

Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż na przykład we Lwowie. Być może dla Sowieców element polski, łagodniej traktowany, był regulatorem w stosunku do nacjonalizmu litewskiego, przynajmniej na początku tak było. Mam wrażenie, że to się zmieniło po 44 i 45 roku, kiedy to nastąpiła repatriacja, czyli tak naprawdę totalny exodus Polaków. Sam byłem zdumiony, jak niedawno gdzieś wyczytałem, że w Wilnie do narodowości polskiej przyznaje się 80 tys. ludzi, a teraz może jeszcze więcej, i że to jest druga pod względem liczebności grupa ludnościowa w Wilnie. W 40 i 41 roku drugą po Polakach grupą ludnościową byli Żydzi.

W Wilnie znalazła się ogromna masa uciekinierów z Polski. Teatr wileński miał tak wspaniałą obsadę jak nigdy przedtem ani potem, masę wspaniałych aktorów, z całej Polski. Życie codzienne było znośne. Były zamęty w okresie przejściowym, ale to się potem wyregulowało. Za litewskich czasów zaopatrzenie było znakomite, tylko straszna drożyzna, niedostępność wielu towarów. Trudno było zdobyć pieniądze. Ja miałem nieźle, 200 litów w tym Kurierze, no, ojciec był lekarzem nadal w Kasie Chorych, też mu tam nieźle jakos pracili. Ale na przykład nauczyciele mieli wielkie trudności, bo Litwini na początku zlikwidowali gimnazja polskie, skurczyli do dwóch czy trzech z tych sześciu czy siedmiu i nauczyciele mieli trudności. Po wejściu Sowieców i uruchomieniu polskich szkół to się poprawiło. Zaopatrzenie w żywność też było znośne.

Były aresztowania, były represje, powiedziałbym - nigdy za niewinność. Gdzieś każdy konspirował, maczał w czymś palce, w tym co mógł, czy co chciał. Była specyficzna sytuacja, bo to nie była walka, nie bardzo było wiadomo, kto jest wrogiem - czy walczyć z państwem litewskim, czy z okupacją sowiecką, to wszystko było bardzo rozmyte, niejasne.

Na początku czerwca 41 roku wybuchła bomba. Zaczęła się wielka wywózka. To było, jak się okazało, bardzo starannie przygotowane. Rano jechałem z Antokolu, gdzie mieszkaliśmy, autobusem do szkoły muzycznej i nagle widzę taką scenę: ciocię Nagrodzką, kuzynkę drugiej żony mojego ojca, wsadzają razem z córką Lilą do ciężarówki. To była dość bliska rodzina, widywaliśmy się dość często. Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Przez dwa dni to trwało. Przyjechało pełno wojsk NKWD, w porządku uszytych mundurach, granatowo-czerwonych czapkach, z pasami mobilizacyjnymi. Wtedy powywozili masę ludzi. Wywieźli wtedy też mojego brata stryjecznego Antosia, który był ze mną w obozie na Litwie. Capnęli go przedtem w jakiejś akcji, był w jakiejś organizacji. Jemu się wtedy udało uciec z transportu, jak już przyszli Niemcy. Bo Niemcy przyszli trzy tygodnie później.

Powywozili wielu nauczycieli i ogromną liczbą tych uchodźców z Polski centralnej. Był taki dramaturg, Kazimierz Lacho... Lache... nie pamiętam. Pamiętam jak szedłem do Kuriera, a on siedział samotnie na ciężarówce. Wielu znajomych powywozili. Nie była ta wywózka może tak obszerna, jak te wywózki w czasie mrozów, najgorsza rzecz, w nieopalanym wagonach, jak na ironię nazywanych przez Rosjan "ciepiuszki", one są zimne jak piorun, tyle że nie są otwarte, bo na otwartych jeszcze zimniej. Tu w każdym razie była ładna pogoda, ciepło. Na bocznym torze nad Nową Wilejką stały wagony przygotowane do transportu. Ojciec opowiadał, że ówczesny szef sanitarny Wilna, późniejszy minister zdrowia w PRL, komunista, Jerzy Sztachelski, był to bardzo porządny człowiek poza wszystkim, biegał tam i organizował jakies dokarmianie tych ludzi w wagonach, jakies leki. W zarządzie miejskim był też wtedy taki podający się wówczas za Litwina Druto, Drutas się wtedy nazywał. Po wojnie został ambasadorem Polski w Paryżu, nie pamiętam, czy przed Putramentem, czy po Putramencie.

Wywieziono ich tak szybko, że już po dziesięciu dniach przyszły pierwsze listy. Wtedy ta poczta dobrze chodziła. Tak jak zaopatrzenie było niezłe - to były te czasy, gdy na parę lat przed wybuchem wojny z Niemcami bardzo się jednak poprawiło z ZSRR pod względem wyżywieniowym.

Była taka nauczycielka, wywieziona wtedy. Kiedyś przedtem opowiadała - a może u nas mieszkała? Była nauczycielką polskiego w szkole, pani Achrem-Achramowiczowa, jej mąż też wywiezli - opowiadała, że ona w ogóle nie stosuje się do żadnego programu, tylko zadaje na pamięć stąd-dotąd każdemu uczniowi co innego do nauczania na pamięć: z "Pana Tadeusza", z tamtego tyle wierszy i egzekwowała to. Potem do niej pisali: jacy jesteśmy szczęśliwi, że pani nam kazęła się tego wszystkiego nauczyć, my to teraz powtarzamy, przepisujemy, jeden drugiego uczył, taki żywy podręcznik. Nie ona jedna to robiła.

Przyszli Niemcy i też wygrywali Polaków przeciw Litwinom.

Była taka niejasna i przykra sprawa tego pisarza, Józefa Mackiewicza. Był bratem Stanisława Cata-Mackiewicza. Startował w "Słowie" u swojego brata, potem się z nim pokłócił i zerwał stosunki, pisywał tam takie umiarkowane... Cat to był byskotliwy publicysta, wspaniały wzór publicysty, raczej talent niż wzór, bo jednak był drański facet, uwielbiam to co pisze, ale trzeba zawsze brać wszelkie poprawki na skali moralnej. Natomiast Józef miał taką dosyć ciemną sprawę. Sowietzi go aresztowali, paru sędziów przy okazji też. Trzymali ich dość długo, jeszcze w Litwie Radzieckiej. Bo tam rządy wewnętrzne, sprawy bezpieczeństwa, miało w ręku NKWD, nazywało się to, że to litewskie, LTSR nazywało się to po litewsku, ale naprawdę to było NKWD, obsada z Moskwy czy z Mińska, do tego trochę Litwinów przyuczonych, trochę Żydów, trochę Polaków. No i Mackiewicza po paru tygodniach wypuścili. Opisał to potem za czasów niemieckich, jak go przesłuchiwali i tak dalej. Powstało pytanie: jakżeż on znalazł się na wolności? żeby wyszedł, musiały być jakies powody. W sprawach politycznych niewyobrażalna była sytuacja, że ktoś się okaże niewinny. Skoro siedzi, to jest winny, może bardziej czy mniej. Jeżeli bardziej, no to kara od 10 lat wzwyż, a jeżeli mniej, to od 8 lat wzwyż, była jakas gradacja, jakies rozróżnienie. A on wyszedł. I zadawano sobie to pytanie, dlaczego.

Co gorsza, on to opublikował w tej gadzinówce. O ile jeszcze można było publikować w tej polskiej gazecie, "Prawdzie" wileńskiej, sam tam publikowałem recenzje muzyczne, zakładało się, że to działalność kulturalna i nie można bez sensu podcinać i tak w tej sytuacji działalności kulturalnej, to można było tolerować. Gadzinówka to była gazeta niemiecka, po polsku wydawana. Nazywała się "Goniec Codzienny", nazywano go "Podogoniec", bardzo parszywa gazeta. Dawni pracownicy germanistyki w Wilnie tam pisywali, stali się tam

rzecznikami antysemityzmu. Był np. artykuł "Kiedy wolno bić leżącego?" i takie rozmaite rzeczy, bardzo parszywe. I on, Mackiewicz, tam opisał swoje przejścia z sowieckiego więzienia, wspomnienia z NKWD. To były takie znaki zapytania.

Były jeszcze jakieś sugestie, jakieś rzeczy po moim wyjeździe z Wilna, dość, że Romek Zebryk, który niedawno napisał o tym korpusie wileńskim AK książkę, mówi, że AK wileńskie - pisał o tym jakieś 10 lat temu w takim oświadczeniu, a on był adiutantem "Wilka", dowódcy wileńskiego AK - że Mackiewicz był przez sąd podziemny skazany na karę śmierci, wyrok był zawieszony, coś takiego, jak to było sformułowane, nie pamiętam, że współpracę z kim, czy z Sowietami, czy z Niemcami, czy z jednymi i drugimi.

Potem wybuchła sprawa katyńska, na listach wyczytałem, że zginął tam mój bardzo bliski przyjaciel, oficer, matematyk, Leonard Korowajczyk.

Mój brat stryjeczny Antoni miał następującą historię (zmarł w 1987 roku). Siedział kiedyś w końcu czerwca 41 roku na dyżurze w szkole muzycznej i patrzył przez okno - idzie Antoni. Jego na parę miesięcy przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej aresztowali. Po paru dniach od wybuchu wojny, na trzeci dzień, Niemcy byli już w Wilnie, a w dzień później wrócił Antoni. Udało mu się uciec z transportu, bo tam pouciekały strażę sowieckie. Część ludzi wywieźli jednak, część zastrzelili, a części udało się uciec; jemu się udało. Rosjanie mieli obłąkane rozkazy - przy ewakuacji zastrzelić wszystkich więźniów, zwłaszcza politycznych. No i byli niektórzy dowódcy, którzy zdążyli to zrobić, a inni nie. Antoni opowiadał, że - jeszcze za czasów litewskich - był w jakiejś akcji antyradzieckiej, niepodległościowej, patriotycznej. Potem był w wileńskim AK, nie wiem dokładnie co tam robił, szukał jakieś czas swojego oddziału, nie wiem. W lipcu 44 roku, jak powtórnie przyszli Sowieci, zajęli Wilno, to w tym zajęciu ogromny udział miały polskie oddziały AK, tego "Wilka". Rosjanie przyjęto przecież wtedy jak wyzwolicieli. Niemcy wydali tuż przedtem nakaz ewakuacji wszystkich z Wilna, strzelali na ulicach do każdego. W ten sposób zginął profesor Masonius, ciężko chory, po 80-tych; przyszli do domu i zastrzelili go, bo się nie ewakuował. Niemcy to robili. Mnie tam wtedy nie było, od września 43 roku byłem w Warszawie. Antoni był wtedy w tych oddziałach "Wilka", a jako jeden z pierwszych zginął w walce syn profesora Hillera, Janek Hiller.

Komunikat po wejściu Ruskich był taki: partyzantka litewska pomogła w zdobyciu Wilna. To był cały zysk polskiej partyzantki. Następnego dnia zaprosili "Wilka", sztab i wszystkich dowódców na wspaniałe przyjęcie, podziękowali. Polecili, żeby następnego dnia wszystkie oddziały się skupiły. Oddziały się skupiły, a oni je załadowali do wagonów i internowali, w charakterze jeńców. Wywieźli ich do obozu. Adiutant tego "Wilka", Władek Kwieciński opowiadał mi niedawno, że ich oboz był wzorcowy. To było gdzieś w głębi Rosji, ich tam trochę wypuszczali, to było trochę na pokaz. Jeździli do miasteczka, stamtąd przywozili jakieś rury, inne rzeczy, założyli sobie w obozie kanalizację, czego nie było nigdzie w okolicy. Mieli masę czasu, z nudów stworzyli sobie cywilizowane warunki, komfortowe. Jak się skończyła wojna, powoli ich wypuszczali. Antoni, który był wywieziony razem z nimi (przyszedł akurat na tę zbiórkę, żeby wyjechać razem z nimi) źle to znosił. Jak ich wypuszczali na przepustki do miasteczka, on za każdy grosz - oni im tam wypracali jakieś żółd czy jakieś kieszonkow - to on za każdy grosz kupował znaczki pocztowe i zebrał sporą kolekcję znaczków. Po wojnie już przyjechał na Dolny Śląsk i wyceniał te znaczki u specjalisty, tamten był zachwycony tym zbiorem, że w życiu takiej kolekcji znaczków ruskich nie widział. Więc Antoni na miesiąc czy dwa przed zakończeniem wojny uciekł stamtąd, przedostał się do Polski. Oparł się w Lublinie u moich rodziców, którzy tam już wtedy mieszkali.